

Piotr Gursztyn: Kondycja naszej pamięci

II wojna światowa siedzi w nas głębiej, niż sami zdajemy sobie z tego sprawę. Jest zakorzeniona także w tych, którzy teraz dopiero wchodzą w dorosłość i z racji późnego urodzenia nie mieli szansy zetknąć się z świadkami wojny. Świadoma i nieświadoma pamięć tej wojny – a właściwie trauma – warunkuje nasze życie. Od spraw codziennych po politykę – pisze Piotr Gursztyn w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Historia (nie)pamięci”.

Taka jest moja odpowiedź na pytanie redakcji „Teologii Politycznej Co Tydzień” o to, jaka jest kondycja naszej pamięci o największej wojnie, której doświadczyła ludzkość. Jest tak wiele wymiarów tego zjawiska, że trudno je uszeregować od najważniejszego po mniej istotne. I łatwo któreś z nich przeoczyć, zawsze zatem znajdą się nowi bystrzy obserwatorzy odnajdujący kolejne fenomeny, których korzeni należy szukać w konflikcie rozpoczętym 1 września 1939 roku. I co bardzo znamienne – czynnik czasu modyfikuje owe wymiary, ale ich nie usuwa. Przeciwnie, wraz z upływem czasu rośnie znaczenia dziedzictwa tej wojny (czy może lepiej brzemienia) dla życia współczesnego. Dotyczy to praktycznie całego globu. Bo nie tylko świata transatlantyckiego i „ruskiego mira”, lecz także rejonu Pacyfiku, gdzie ma zauważalny wpływ na świadomość i działania Chin, Japonii, Korei, a pewnie też i innych nacji tamtego regionu.

Można to wytłumaczyć przekształcaniem się liberalizmu z doktryny politycznej w świecką quasi-religię. Najstraszniejszym uosobieniem zła w demonologii tej nowej religii jest Adolf Hitler i nazizm w roli zastępów szatańskich. Ale jest to nazizm zdenacjonalizowany, wypreparowany z historycznego kontekstu, przekształcony w pojęcie abstrakcyjne służące jako ważne narzędzie w masowej perswazji wobec wyznawców i wrogów wspomnianej nowej religii. Wokół tego procesu dzieją się zjawiska niższego rzędu, ale nie mniej masowe – często komercyjnego charakteru – jednak też bardzo mocno zaprzatające uwagę opinii publicznych prawie całego świata.

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.

Prosimy, kliknij tutaj i przekaż darowiznę w dowolnej wysokości.

Siła tego zjawiska dotyka również Polskę, przy czym trzeba zaznaczyć: niezależnie od manipulacji pamięcią o II wojnie światowej jej wpływ na naszą rzeczywistość i tak byłby przeogromny. Widać to w pewnym ciekawym aspekcie: po 1989 r. zdawało się, że nasze zbiorowe emocje będą dominowane przez pamięć o komunizmie i rewolucji „Solidarności”. Tak działo się przez pierwsze kilkanaście lat nowej rzeczywistości. Historycy skoncentrowali się na poznawaniu „białych plam” i rozliczaniach ze spuścizną PRL. Opinia publiczna im żywo asystowała, czego przykładem był spór o lustrację. Doszło do tego, że wśród zawodowych badaczy historii powstała luka pokoleniowa – zabrakło historyków zajmujących się okupacją niemiecką, bowiem „dwudziestowiecznicy” skoncentrowali się na czasach PRL. Lecz po kilku latach emocje i ekscytacje opinii publicznej opadły, jeśli chodzi o tę tematykę. Wróciła II wojna światowa. Także zainteresowanie

Żołnierzami Wyklętymi trzeba wpisać w ten obszar, a nie ekscytację rozliczeniem z komunizmem. Powojenne podziemie antykomunistyczne było bezpośrednią kontynuacją tego, co zaczęło się w 1939 r. – wyrazem niezgody na los Polski spowodowany przez II wojnę światową i tak należy odczytywać to rozbudzenie zainteresowania czynami Łupaszki, Zapory, Inki i wielu innych. Tak więc dzisiaj popkultura czerpiąc z historii, nie sięga do czasów „Solidarności”, ale pełnymi garściami czerpie z dziedzictwa Powstania Warszawskiego, AK, Żołnierzy Wyklętych, NSZ, a ostatnio też nawet Rzezi Wołyńskiej. Przy czym więcej jest inicjatywy społecznej, środowiskowej – np. kibicowskiej – niż komercyjnej.

To pokazuje siłę tego oddolnego ciśnienia. Polska lewica i liberałowie mają w tej materii bardzo spiskową teorię – uważają, że to wszystko to wynik działań odgórnych, scentralizowanej zmowy polityków prawicy i demonicznych historyków IPN. Ten brak rozeznania wskazuje, jak bardzo wsteczni w swym myśleniu są polscy reprezentanci progresywnych przecież w swym mniemaniu nurtów politycznych. To zjawisko z jednej strony komiczne, a z drugiej praktyczne, bo sprawiające, że oba te nurty w poważnym stopniu wyłączają się z autentycznych emocji milionów Polaków.

Historia jest treścią naszego życia w tym sensie, że jest podstawowym spoiwem narodu polskiego jako wspólnoty politycznej. W roli tego spoiwa słabnie wraz z laicyzacją pozycja religii, nie ma już wspólnego kanonu kulturowego, a nie mieliśmy – tak jak wiele narodów naszego regionu – czynników spajających takich jak żywy folklor, czy taką obyczajowość jak np. u ludów południowych, która by skłaniała do wspólnego spędzania czasu nie tylko w kręgu rodzinnym. Język zaś to

tylko narzędzie komunikacji, a nie źródło zbiorowych uniesień. Tak więc w zasadzie tylko historia jest tym czymś co łączy nadwiślańskich Hutu i Tutsi w jeden polityczny naród.

Wróćmy jednak do II wojny światowej. Siedzi ona w nas nie dlatego, że jej potrzebujemy jako tożsamościowego spoiwa. Owszem, tak to działa, ale to skutek, a nie przyczyna dzisiejszej ważności tego tematu. Dla mnie osobiście najciekawsze jest to, co nieuświadomione. To nieprzerwanie wielka tajemnica, o której nauka wie, że istnieje, ale nie zaczęła de facto jej badać. W 1939 r. Polska liczyła 35 mln obywateli. Etnocentrycznie, dla intelektualnego ułatwienia, zawężmy nasze rozważania do etnicznych Polaków – ludzi narodowości polskiej było ok. 20 mln, reszta to mniejszości etniczne. Z tych 20 mln życie straciło w czasie wojny prawie 3 mln osób, czyli było to więcej niż decymacja. Każda śmierć to trauma dla co najmniej kilku nadal żyjących osób – dzieci, rodziców, współmałżonków, rodzeństwa. Z tych, którzy przeżyli, miliony były więzione, głodzone, wysiedlane, bite, upokarzane, przerażone działaniami wojennymi i terrorem. Cała populacja od niemowląt po starców przez ponad pięć lat była narażana na niewyobrażalny dla nas stres. To jest ta wielka niezbadana tajemnica.

Każda śmierć to trauma dla co najmniej kilku nadal żyjących osób

Owszem szereg psychologów i psychiatrów – Antoni Kępiński, Wanda Póltawska czy prof. Zdzisław Ryn –

pracowali z eks-więźniami niemieckich kacetów. Ich badania są bardzo ważne, ale jednak wycinkowe. Trauma bowiem dotknęła cały naród, a potem dzieci, a potem wnuki. Istnieje bowiem coś takiego, jak

dziedziczenie traury. Są nawet naukowcy, którzy dowodzą – i nie jest to jakoś bardzo kwestionowane – że traury są zapisywane w osobniczym kodzie DNA i tym samym przekazywane dalszym pokoleniom. Prawie nikt z nas nie uzmysławia sobie tego i tym bardziej nie zauważa, choć my wszyscy w stu procentach jesteście dziećmi, wnukami i prawnukami ludzi, którzy byli narażeni na najstraszniejsze przeżycia. Jedną z takich nielicznych osób, które uzmysłowiły sobie ten ciężar, jest pisarka Anna Janko, autorka ważnej w tym temacie książki „Mała zagłada”. Janko urodziła się trzynastu lat po wojnie. Jej matka – poetka Teresa Ferenc – jako kilkuletnie dziecko cudem przeżyła masakrę jednej z wymordowanych na Zamojszczyźnie wsi. Straciła tam rodziców i prawie całą rodzinę. Anna Janko mówiła, że widzi skutki tej traury nie tylko u siebie, ale też u swoich dzieci – czyli osób urodzonych kilka dekad po wojnie.

*My wszyscy w stu procentach
jesteście dziećmi, wnukami i
prawnukami ludzi, którzy byli
narażeni na najstraszniejsze
przeżycia*

Stereotyp mówi, że w Polsce jest „za dużo wojny” – to znaczy jest pełno pomników, mnóstwo książek, obchodów etc. W istocie nawet w tym najbardziej

praktycznym wymiarze można powiedzieć, że prawie wcale nie jest upamiętniona martyrologia polskiej wsi. Od niedawna głośniejsze jest o Rzezi Woli, ale zapomniana pozostaje Rzeź Ochoty. Dopiero teraz odkrywana jest straszna historia obozu koncentracyjnego w Pomiechówku, zaś obszar okupacji, na której ten obóz działał – rejencja ciechanowska – do dziś nie ma swojej monografii, choć dotyczy ona obszaru, gdzie mieszkał milion Polaków.

Jest pytanie, po co nam to potrzebne. Nie tylko po to – choć to też ważne – by nikt nas nie zapisywał do obozu sprawców. Potrzebne jest to, bo oba totalitaryzmy zabijały ludzi, ale też wymazywały ich tożsamość. Uważam, że to nasz moralny dług, by starać się to odwrócić. Tak jak Muzeum Powstania Warszawskiego próbuje spisać wszystkich cywilnych Warszawiaków, którzy stracili życie w czasie sierpniowej insurekcji.

*...niewiedza o zaginionych
podważa realność świata
wtrąca w piekło pozorów
diabelską sieć dialektyki
głoszącej że nie ma różnicy
między substancją a widmem*

*musimy zatem wiedzieć
policzyć dokładnie
zawołać po imieniu
opatrzyć na drogę*

Tak tę potrzebę wyraził Zbigniew Herbert. Ale nie robimy tego tylko dla naszych zmarłych. Musimy to zrobić dla siebie. Zawsze trzeba odbyć żałobę, by uporać się z bólem po stracie bliskich. W przypadku II wojny światowej jest to konieczne, by spojrzeć na nią jako nie tylko przyczynę bolesnych wspomnień, ale też źródło dumy, siły i inspiracji. Nasi przodkowie wystąpili bowiem w dobrych zawodach i wiary ustrzegli. Podkreślmy to, że ta pochwała dotyczy prawie całego narodu – od przywódców po szeregowych członków wspólnoty narodowej. Przegrali,

ale nie zostali pokonani. Należy im się wieniec sprawiedliwości. A dla nas jest to dowód siły, odporności i niezniszczalności idei polskości. Dowód i zobowiązanie.

Piotr Gursztyn

Fot. Jolanta Dyr, CC BY-SA 3.0



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego